VI—1 Styczeń 1933

SZKOŁA CHRYSTUSOWA



Treść:

SZKOŁA CHRYSTUSOWA
Miesięcznik poświęcony zagadnieniom
życia wewnętrznego.

Redaktor: *O. Dr. Andrzej M. Gmurowski.*
Redakcja i Administracja: Lwów, OO. Dominikanie.

Przedpłata roczna 4 zł., w Ameryce 1 dol.
Przedpłata półroczna 2 zł. Zeszyt pojedynczy 40 gr.
P. K. O. 154.535 (Wydawnictwo OO. Dominikanów)

VI — 1 **Janvier 1933**

Sommaire:

Wydawnictwo nasze zostało opatrzone nowym znakiem symbolicznym, przedstawiającym zakonnika, który „rozkrzyżował ramiona tak, jak to kapłan czyni we Mszy św... Często w ten sposób św. Dominik się modlił, lecz tylko wtedy, gdy siłą modlitwy z natchnienia Bożego wiedział, że ma nastąpić coś wielkiego i niezwykłego". (Teodoryk z Apoldy; por. Szkoła Chrystusowa V [1932] str. 14 n.)

Znak symboliczny wykonał p. Z. Draniewicz (Lwów).

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

VI

1933



ROK IV. TOM VI.

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

Czasopismo poświęcone zagadnieniom
życia wewnętrznego.





Lwów
wydawnictwo oo.
dominikanów

1933

ZA POZWOLENIEM WŁADZ DUCHOWNYCH

Tłoczono w drukarni Dominikańskiej we Lwowie
na papierze z Fabryki Papieru „Malta“.

VI. 1. Styczeń 1933.

Szkoła Chrystusowa

Miesięcznik

PRACA WEWNĘTRZNA.

Napróżno żyje, kto nie usiłuje stać się prawdziwie świętym. Bo czyż nie jesteśmy stworzeni na to, byśmy byli świętymi? Przez świętość spełniamy wszelaki obowiązek, w niej znajdujemy prawdziwy pokój.

Czy świętość jest możliwa dla mnie? — Owszem, ona właśnie jest dla ciebie. Tylko zważ dobrze, co to jest świętość.

Powiadają teologowie, że świętość, czyli doskonałość, polega na miłości. Słusznie. Im kto więcej miłości posiada, tem bardziej jest zjednoczony z Bogiem, tem doskonalej Boga swego posiada, tem jest świętszy. Ale miłość jest darem Bożym; sam Bóg wlewa ją do duszy naszej. Więc odpowiedź, że doskonałość i świętość, o jaką w życiu koniecznie chodzi, polega na miłości, jest prawdziwa, ale bierze rzecz raczej ze strony Boga, aniżeli ze strony woli ludzkiej i ludzkiego wysiłku. Kiedy powiadamy, że świętość polega na miłości, to świętość uwzględniamy bardziej teologicznie aniżeli praktycznie.

W tej chwili chodzi przedewszystkiem o to, co sami czynić mamy, praktycznie, codziennie, by

stać się świętymi. Czy świętość leży praktycznie w naszych rękach?

Tak jest. — A na czemże polega ta praktyka świętości?

Na tem, „by chcieć".

Co mam czynić, by zostać świętą? — zapytała święta Scholastyka brata swego, św. Benedykta. „Chcieć" — była odpowiedź. A gdy poraz drugi i trzeci to samo stawiała pytanie, zawsze tę samą otrzymywała odpowiedź: Chcieć, chcieć.

Więc: chcieć! A przynajmniej „chcieć chcieć"; — to pierwsze, na co zdobyć się musimy, kiedy zabieramy się do życia duchowego.

Ale trzeba także „umieć chcieć", trzeba zdać sobie dokładnie sprawę z tego, czego się chce.

Więc czego konkretnie chcieć, by dojść do doskonałości? Czy może chcieć bez zastrzeżeń poświęcać samego siebie, swe siły, mienie i czas swój na rzecz bliźnich? Owszem, gorliwość o dobro bliźnich jest rzeczą świętą, ale przez się nie rodzi, ani stanowi świętości; raczej ją suponuje. Ktoby sądził, że doskonałość polega na zewnętrznej gorliwości, wielki popełnia błąd, a ktoby w ten sposób postępował w życiu, nie stałby się nigdy doskonałym i zdziałałby nie wiele dobrego, a może sprawiłby daleko więcej złego niż dobrego. W nieroztropnym kulcie zewnętrznej gorliwości tkwi wielkie niebezpieczeństwo. Na oko bowiem wygląda on dziwnie ponętnie, a jednak — jak pisze Pius X[1]) — brzemienny jest w zgubne

---

1) Exhort. ad clerum z d. 4. 8. 1908.

następstwa. Kto gorliwością zewnętrzną chce zastąpić własną doskonałość wewnętrzną, oszukuje samego siebie, bo sam zostaje z próżnemi rękami wobec Boga i własnego sumienia; praca zaś jego, choćby przez się najlepsza, nie zrodzi trwałych owoców bo wszystkie będą robaczywe, to znaczy zanieczyszczone ziemską pobudką, a może nawet martwe dla braku miłości. Gorliwość o dusz zbawienie jest raczej owocem doskonałości.

Więc co mam „chcieć", by zostać doskonałym?

Musisz chcieć zaprzeć się siebie — tak uczy Pius X w myśl słów Chrystusa: „Jeśli kto chce za mną iść, niech sam siebie zaprze" (Mat. 16, 24). Zaparcie się siebie — to punkt praktycznie decydujący w życiu duchownem. Tu w grę wchodzi nasza wola, nasza własna inicjatywa, nasza praca; gdy ją spełnimy, wszystko inne się znajdzie. Tu rozpoczyna się dzieło naszego uświęcenia, o ile ono w naszych jest rękach, i tu znajduje dopełnienie swoje.

Chodzi tylko o to, by dobrze zrozumieć, co to jest zaparcie się siebie, co to jest umartwienie, czy abnegacja.

Czy tu chodzi o umartwienia zewnętrzne, które zadajemy sobie dobrowolnie od czasu do czasu, a które grupują się około trzech naczelnych dzieł umartwienia, jakiemi są modlitwa, post i jałmużna? Owszem, dobre są i zbawienne umartwienia tego rodzaju. Są one cenną pomocą na drodze doskonałości, zwłaszcza na początku, kiedy pycha, pożądliwość ciała i oczu silnie napierają, oraz na wyżynach duchowych, gdzie dusza

ima się dzieł pokutniczych, by w ten sposób dać wyraz gorącej miłości swojej i pragnieniu ofiary i zadośćuczynienia. Wszakże praktyki te są dorywcze i okolicznościowe, są pomocą, ale nie są treścią, są środkiem, ale nie celem.

Zaparcie się siebie, na którem — praktycznie mówiąc — polega doskonałość życia wewnętrznego, — to praca, codzienna, prosta praca. Więc nie chodzi o nic nadzwyczajnego. Chodzi o zwykłą pracę. I dlatego doskonałość i świętość jest czemś całkiem prostem; leży na zwykłej drodze naszego życia.

Cała tajemnica tkwi w tem, by dobrze zrozumieć, co znaczy praca w życiu duchownem.

Czy to praca fizyczna? — Owszem, także praca fizyczna. Każde powołanie, każdy zawód wymaga pewnego wysiłku fizycznego. Nawet karmelitanka bosa zna natężenie fizyczne. W życiu jednych praca fizyczna stanowi główne zajęcie, u innych jest raczej dodatkiem lub okolicznością. W każdym razie praca fizyczna jako umartwienie ciała ma wartość dla życia duchownego, jeśli ją podejmujemy z dobrych pobudek.

Trudniejsza i mozolniejsza jest praca umysłowa, umartwienie rozumu. Dla jednych stanowi ona naczelne zajęcie, w życiu drugich mniej się uwydatnia, ale zawsze służyć może i powinna wyrobieniu wewnętrznemu, byle tylko kierowała nią szlachetna pobudka.

Najtrudniejsza wreszcie i najmozolniejsza jest praca moralna. Ona jedna zasługuje na pełne miano zaparcia się siebie.

Co to jest praca moralna, czy wewnętrzna? Czy polega ona na odbywaniu pewnych ćwiczeń duchownych, jak metodycznej medytacji i rachunku sumienia? Oczywista, że praktyki życia duchownego są ważnym czynnikiem w pracy wewnętrznej. Trzeba uważać jako niewzruszony pewnik zarówno tradycyjnej nauki o życiu duchownem, jak i praktyki wiekowej, skrystalizowanej najlepiej i dostosowanej do wymogów nowoczesnych przez św. Franciszka Salezego, że bez rozmyślania czy modlitwy myślnej i bez codziennego rachunku sumienia praca nad życiem wewnętrznem jest wprost niemożliwa. Są to konieczne narzędzia pomocnicze, z których pomocą docieramy do własnego wnętrza, by tam przeprowadzić gruntowne oczyszczenie, znaleźć Boga i nawiązać z Nim obcowanie. Doświadczenie uczy najwymowniej, ile wysiłku i konsekwencji potrzeba, ile trzeba „chcieć", by wiernie zachować praktykę rozmyślania i rachunku sumienia. A przecież to tak proste: nawiązać przyjacielską, szczerą, naturalną rozmowę z Bogiem swoim, który prawdziwie mieszka w duszy, wyłożyć Mu swoimi słowami to, co jest w duszy: prośby, pragnienia, obawy, nadzieje, smutki i radości; uczcić Go i ukochać, oddać się mu z zaufaniem. Nauka ascetyczna wylicza wiele sposobów odprawiania modlitwy myślnej, a w rzeczywistości jest ich tyle, ile jest dusz, które ją praktykują. Bo Duch św. każdą chętną duszę osobną prowadzi ścieżyną. Jeśli więc chodzi o metodę modlitwy myślnej, to niema trudności; zresztą metoda jest rzeczą mniejszej

wagi. Tu decyduje raczej wola, wysiłek, praca nad wytrwaniem: Nie wolno zaniedbać modlitwy myślnej, choćby ona polegała na prostem, niemem, oschłem, nużącem trwaniu w obecności niewidzialnego Boga, choćby się zdawało, że jest ona cierpliwem tylko wyczekiwaniem aż czas przeznaczony na modlitwę upłynie. Wytrwać, chcieć wytrwać — takie jest zasadnicze hasło praktyk zewnętrznych życia duchowego, zwłaszcza modlitwy myślnej, a także rachunku sumienia.

Jeśli praca, leżąca poniekąd na periferji życia duchownego jak modlitwa myślna i rachunek sumienia, rozmowa sam-na-sam z Bogiem i rozmowa sam-na-sam ze samym sobą, jeśli, powiadam, już ta praca wymaga tyle wysiłku i konsekwencji, że stosunkowo mało ludzi zdobywa się na tyle energji, — cóż dopiero będzie, kiedy chodzi o istotną pracę wewnętrzną, na której w praktyce polega doskonałość i świętość.

Teraz dotykamy samego rdzenia zagadnienia istoty świętości w praktyce życia. Już nie idzie o środki, ale o rzecz samą, już nie o czynniki mniej lub więcej zewnętrzne, ale o coś czysto wewnętrznego.

Na czem polega ta praca wybitnie wewnętrzna?

Ktokolwiek zabiera się do pracy wewnętrznej, musi żywić najgłębsze przekonanie, że w duszy jego żyje bożyszcze w postaci własnego „ja“ egoistycznego. Wprowadził je do duszy grzech pierworodny, a wzmogły go i wzmagają grzechy osobiste. A bożyszcze to ma trzy potężne ramiona: pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pychę, któ-

re co chwila podnoszą się, by bożyszczu-egoizmowi poddawać wszystko, co jest w człowieku lub ma jakąkolwiek z nim styczność; egoizm chce wszechwładnie panować. Czy tak rzeczywiście nie jest w życiu? Czy egoistyczna natura niby bożyszcze jakieś ustawicznie nie podnosi głowy? Czy w naszych myślach, pragnieniach, uczuciach, wyobrażeniach nie przejawia się ustawicznie ukryta moc jego? Mając każdej chwili namacalne tego dowody, musimy żywić silne przekonanie, że w nas tkwi zgubny zaczyn egoizmu i zanieczyszcza całe nasze wnętrze.

Więc trzeba być zdecydowanym: albo — albo. Albo ja sam ujmę w kajdany zdradliwe to bożyszcze-egoizm, albo ono mnie podbije. W tej decyzji, przeprowadzonej konsekwentnie, leży punkt praktycznie decydujący dla całego życia duchownego.

Więc jestem zdecydowany — niech kosztuje, ile chce — opanować własny egoizm oraz wszystko, co zeń się rodzi, i zdobyć siebie samego dla Boga. Jego wola ma panować we mnie i w całem życiu mojem, a nie bożyszcze-egoizm. Chcę myśleć, pragnąć, działać, co Bóg chce, jak Bóg chce i dlatego, że Bóg tak chce, a egoizm żadnego nie ma mieć wpływu na wnętrzne i zewnętrzne życie moje.

Lecz jak dojść do tego? — Pracą wewnętrzną.

Polega ona nasamprzód na tem, by reagować, zaraz i stanowczo, ilekroć odezwie się egoistyczne „ja" w jakiejbądz formie; trzeba przytłumiać wszelkie myśli, chęci, uczucia, wyobrażenia, które

trącą egoizmem, pychą, zmysłowością, chciwością, — różnemi przejawami egoizmu. Co niedość szlachetne i zgodne z wolą Bożą, co zbyt naturalne i poziome dla braku czystej pobudki, odrazu trzeba prostować, oczyszczać i podnosić przez miłości pełne oddanie się. Jest to praca ustawiczna, bo niema chwili, w którejby egoizm nie starał się brać górę: skoro przytłumisz jakieś pragnienie, myśl lub uczucie zrodzone z egoizmu, już powstaje inne, — i tak bez końca. W tem bezustannem reagowaniu, w tej walce, którą egoizm wytacza zwykle bardzo podstępnie, dusza traci nieraz orjentację i zdarza się, że egoistyczne poruszenia nie odrazu doznawają należytej odprawy. Stąd owe niecałkiem dobrowolne grzechy powszednie, których bez szczególniejszej pomocy Bożej nikt zupełnie ustrzec się nie może.

Ta wojownicza praca wewnętrzna, to metodyczne zaparcie się siebie streszcza się w ignacjańskiem *agere contra* — „działać przeciwko" zakusom i zachciankom egoistycznej natury. Każdy widzi, że to praca olbrzymia i twarda, a kto jej zakosztował, wie, ile ona wymaga wysiłku, stanowczości i męstwa. Bez niej jednak mowy być nie może o jakiemkolwiek życiu wewnętrznem.

A to bynajmniej nie cała praca wewnętrzna, na której praktycznie polega doskonałość i świętość. To dopiero jej część poniekąd negatywna; to praca nad usuwaniem egoizmu i wszystkiego, co z nim się łączy.

Praca wewnętrzna posiada także funkcję pozytywną.

Polega ona na podchwytywaniu „łask chwili". Jak w przyrodzie działają na nas ustawicznie fale atmosferyczne, tak w porządku nadprzyrodzonym dochodzą nas ciągle fale łask. Każda chwila niesie nową pomoc łaski, każdy obowiązek, jaki na nas spada, związany jest z osobną łaską uczynkową, każde zdarzenie, każda okoliczność życia jest brzemienną w moc nadnaturalną dla nas. Jak słońce jest poniekąd narzędziem, przez które Bóg rozlewa w świecie światło, ciepło i siłę, tak najświętsze Człowieczeństwo Chrystusowe jest najdoskonalszem narzędziem, przez które Bóg rozsyła łaski na cały świat duchowny. Te dobre myśli i uczucia, które w nas powstają poniekąd bez naszego współdziałania i nas zapraszają do cnoty, te szlachetne poruszenia i porywy, których każdy doświadcza w sobie, — to wszystko są namacalne skutki działania łask uczynkowych, które ustawicznie płyną ku nam i nas orzeźwiają, oświecają i do dobrego pobudzają. Chodzi tylko o to, by potrafić je „brać", by umieć korzystać z bogactw chwili obecnej brzemiennej w światło i siłę nadprzyrodzoną. Życiowe zachowanie się wobec łask chwili: czy je przyjmiemy czy też odrzucimy, stanowi treść indywidualnego życia duchownego każdego z nas, a kolejno następujące po sobie łaski uczynkowe przyjęte względnie odrzucone stanowią dzieje indywidualne poszczególnej duszy. Dzieje te są najdokładniej opisane w *księdze żywota*, czyli w przedwiecznej myśli Bożej. Dokonywują się one w czasie, od chwili do chwili, w duszy naszej; ich sprawcą jest Bóg

przez łaskę, którą nam każdej chwili podaje, a my przez wierność łasce. To, co w Ewangelji jest w szacie teorji, staje się życiem w nas, kiedy umiemy korzystać z każdej łaski, jaką Bóg nam daje. Wówczas Chrystus żyje w nas, to znaczy moc Jego łaski działa w nas, ustawicznie, każdego czasu, a my to działanie Jego przyjmujemy i mocą Jego żyjemy. Ta moc Chrystusowa ożywia wszystkie poruszenia naszej duszy. Na tem polega prawdziwa „umiejętność Chrystusowa", *scire Jesum*: umieć poddawać się ustawicznie, każdej chwili, przy każdym obowiązku wpływowi łaski Jego. Taki jest głęboki sens słów św. Pawła: Nauczyliście się Chrystusa (Ef. 4, 20), posiadacie znajomość, jak przyjmować i przyswajać sobie w własnej duszy wpływ Chrystusa-Głowy, iżby Jego życie było najgłębszym Motorem całego moralnego życia waszego, iżbyście żyli z Nim, w Nim i przez Niego.

„Mieszkajcie we Mnie, a Ja w was" (Jan 15, 4). Jeśli w tem żywem obcowaniu z Chrystusem wiernie trwać będziemy przez sumienną pracę wewnętrzną, wówczas ziści się to, co było rzeczywistością w życiu św. Pawła: „Żyję ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus" (Gal. 2, 20).

Czy może być coś bardziej istotnego w życiu duchownem? Nie. — W tem tkwi najistotniejsza praca wewnętrzna: *scire Jesum*. Ona tworzy prawdziwych duchownych. Żadna inna praca lub praktyka życia duchownego nie wstępuje tak głęboko do duszy, i dlatego żadna tak nie przerabia człowieka wewnętrznie i z gruntu, jak wy-

mieniona praca wewnętrzna polegająca na *„agere contra“* i na *„scire Jesum“*. Nie dziw więc, że w tym właśnie punkcie spotyka każda dusza, która zabiera się szczerze i stanowczo do pracy nad sobą, najpoważniejsze trudności i najwyższe cierpienia moralne. Bo tu chodzi o zabicie egoizmu, o oczyszczenie własnego wnętrza z egoistycznego „ja“, które się osadziło tak mocno i głęboko; tu chodzi o oddanie się Bogu, o poddanie się Jego łasce bez zastrzeżeń, każdej chwili. Dusza musi dobrowolnie obumrzeć wszystkiemu, co nie jest Bogiem, by zdolna była żyć Bogiem. Jakże wielki i bolesny jęk wydobywa się z głębi zepsutej natury, gdy zbliża się godzina takiego dobrowolnego konania. Co to za praca i jak bardzo wewnętrzna!

I trzeba dodać, że praca ta jest stała i nigdy nie powinna zaznać przerwy; wymaga ona, byśmy ją ciągle podejmowali na nowo. Ile męstwa potrzeba, by nie ustać, nie zniechęcić się. A przytem musi to być praca woli, a nie uczucia i nerwów. Ktoby ją podejmował gorączkowo, z natężeniem uczucia i nerwów, przegrał zgóry. Tu konieczny jest spokój, niewyczerpana cierpliwość, żelazne męstwo.

Wszakże jak wszędzie indziej, gdzie piętrzą się trudności, tak i tu decyduje pilność, staranność i wierność w małych rzeczach, w codziennych drobnych obowiązkach. Na terenie powszednich zajęć mamy ustawicznie okazję do *„agere contra“* i do *„scire Jesum“*. Każda okazja nastręcza „małą“ pracę, więc możemy łatwo ją pokonać, a

wszystkie razem tworzą wielkie dzieło pracy duchownej, która zwolna nas wewnętrznie przerabia na prawdziwych duchownych.

Oczywista, że ten tylko potrafi dzieła tego wykonać w sobie, kto żyje z zastanowieniem, kto zdaje sobie sprawę z tego, co w nim się dzieje i co sam czyni. A to jest „straż serca", czyli skupienie wewnętrzne. Człowiek jest zdolny zachować wewnętrzne skupienie, być sobą, nawet wśród najbardziej pochłaniających zajęć, byle tylko zadał sobie odpowiedniej pracy wewnętrznej. Tu nie chodzi przecież o zawsze aktualną uwagę rozumu, o jakieś rozumowanie, o myślenie o sobie; raczej chodzi o uwagę, będącą trwałym stanem wewnętrznym, o uwagę serca, zrodzoną przez pilne ćwiczenie się, przez pracę nad *„agere contra"* i *„scire Jesum"*. Przy dobrej woli można zdobyć taki stan czujności wewnętrznej, gdzie wśród prac i zajęć zostajemy w żywej obecności Boga, którego nie widzimy, ale o którym jesteśmy przekonani, że jest przy nas i w nas. I dlatego to wewnętrzne skupienie nie krępuje, nie tamuje swobody, lecz przeciwnie jest źródłem prawdziwej swobody i wolności duchowej, bo stanowi skuteczną zaporę dla krępujących wybryków egoizmu. Kiedy jesteśmy w obliczu Jezusa, wówczas jesteśmy prawdziwie „sobą".

Taka jest istota doskonałości i świętości, jeśli ją bierzemy ze strony praktycznej; polega ona na pracy wewnętrznej. Od tej pracy zależy cała prawdziwa wartość naszego życia, w niej tkwi tajemnica świętości oraz tajemnica mocy moralnej i nad-

przyrodzonej, jaką posiadają ludzie prawdziwie doskonali. Miłować Boga, zwłaszcza uczuciowo, wielbić Go, podejmować zewnętrzne dzieła dla Boga i bliźnich — to wzniosłe cele zdolne porwać dusze wspaniałomyślne; ale żyć ukrytem zaparciem się siebie i w całkowitem poddaniu się łasce — to dopiero całopalna ofiara, która rodzi świętych, albowiem duszom ofiarnym Bóg się udziela, daje im miłość doskonałą i przez nich dokonywa dzieł swoich. Taki jest głęboki sens słów Chrystusa: „Kto chce być uczniem Moim, niechaj *zaprze samego siebie* i niech *idzie za Mną*“ (Mat. 16, 24).

Poznań.

Ks. Dr. Aleksander Żychliński.

DUCH ŚW. „SERCEM“ KOŚCIOŁA ŚW.

Kościół św., Oblubienicę Chrystusa, porównuje się często z ustrojem żyjącym, którego członkowie zgodnie współżyją i współdziałają ku dobru i doskonałości całego Ciała. Głową tego organizmu nadprzyrodzonego i widzialnego zarazem, jest Chrystus-Bóg-Człowiek, który jako „pierworodny mnóstwa braci“ posiada w świętem człowieczeństwie swojem wyraźną i jasno uwydatniającą się wyższość nad wszystkiemi członkami swego Ciała mistycznego. Będąc Królem królów i Panem wszelkiego stworzenia rządzi Bóg-Człowiek w Kościele świętym mocą swej niezwyciężalnej potęgi i słodkiej władzy podając nam wysłużony przez siebie na krzyżu współudział w wewnętrznem życiu Trójcy Przenajśw., wstawiając się za nami w „wiecznej liturgji“ swej Ofiary krzyżowej (O. Bernadot), i wprowadzając wszystkich członków swego mistycznego Ciała królewską drogą krzyża świętego w coraz to głębsze poznanie bożych tajemnic i pełniejszy współudział w wewnętrznem życiu Bożem.

Prócz tego istnieje w Kościele świętym wpływ cichy, ukryty, niewidzialny, nazewnątrz nieraz prawie niespostrzegalny, co wszystko w Ciele mistycznem Chrystusa ożywia, wszystkiem dysponuje, wszystko duchowo oświeca i ogrzewa, porządkuje, prowadzi i przez to łączy w jedności miłościwej, nadprzyrodzonej harmonji. — Osobą zaś boską, która tej dokonuje działalności — to Duch św., zwanym dla swego cichego, a ożywiającego

i jednoczącego wszystkie działania *„Sercem Kościoła św.“*[1]), tego Kościoła, którego członków On uświęca, którym rządzi niewidzialnym wpływem wszechpotężnej swej łaski (Mądr. 8, 1).

W jaki sposób działalność Ducha św. zaznacza się w mistycznem Ciele Pana Jezusa?

Kościół św. ma to do siebie, że jest społecznością nadprzyrodzoną a zarazem społeczeństwem widzialnem. Ponieważ zaś Duch św. wpływem swoim obejmuje cały organizm mistycznego Ciała Chrystusa, przeto w jednej i drugiej stronie ustroju Kościoła uwydatniają się owoce cichej i ukrytej działalności trzeciej Osoby Trójcy Przenajświętszej.

Jedność Kościoła katolickiego, której widocznym wyrazem jest jego widzialna Głowa Ojciec św., zawdzięcza nadprzyrodzoną potęgę, spoistość i moc swoją Duchowi św., co łączy węzłem duchowej miłości Chrystusa-Głowę niewidzialną Ciała mistycznego z Papieżem, głową widzialną Oblubienicy Chrystusowej, papieża zaś w miłościwej jedności z biskupami, kapłanami i wiernymi Kościoła św. Miłość Jego spaja wszystkie członki Chrystusowego Ciała mistycznego między sobą i ze sobą węzłem przepotężnej i wspaniałej soli-

1) „Głowa posiada pewną oczywistą wyższość ponad inne członki ciała; serce natomiast wywiera pewien wpływ niewidzialny. Dlatego to z sercem porównuje się Ducha św., który niewidzialnie ożywia i jednoczy Kościół; z głową zaś porównuje się samego Chrystusa wedle owej natury widzialnej, wedle której przenosi się jednego człowieka nad innych ludzi“. Sw. Tomasz, 3 q. 8 a. 1 ad 3. Cytowane u X. Dr. N. Gihr'a: Veni Sancte Spiritus. Die Sequenz der Pfingstwoche, Freiburg i. B. 1924, str. 2, przyp. 2.

darności nadprzyrodzonej, w świętych obcowaniu. Nadto Duch św. ożywia błogosławionem tchnieniem swojem organizm i działalność Kościoła św. i sprawia, że tysiące bohaterskich dusz opuszczają rodzinę, ojczyznę, społeczeństwo i kulturę, aby przez pracę misyjną wśród pogan Ciało mistyczne Chrystusa doprowadzić do stanu wieku dorosłego, t. zn. do zorganizowania widzialnej hierarchji i widzialnego społeczeństwa wiernych. (Por. list św. Pawła do Efezjan 4, 1-16.) O. Meschler[2]) porównuje położenie Kościoła św. przed Zesłaniem Ducha św. z stanem ciała Adama, które, zanim ożywcze tchnienie Boże nie sprawiło w nim ruch i życie, było jakoby we śnie pogrążone, bez ruchu, bez siły, bez energji. Podobnie Ciało mistyczne Chrystusa dopiero przy zstąpieniu Ducha-Pocieszyciela nabrało żywotności nadprzyrodzonej, energji promieniującej w ofiarnem życiu apostolskiem: oto Serce Kościoła św. poczęło działać a wpływem swoim sięgnęło aż do krańców ziemi naszej. Odtąd ożywczem tętnem boskiego rytmu swego utrzymuje ono i karmi wszystkie członki Chrystusa mistycznego błogiemi sokami niewidzialnej swej łaski — więcej: gości w ich duszach obecnością swoją wespół z Ojcem i Synem jednorodzonym.

A czyż trzeba wspominać o tem, że w ustanowieniu i kierowaniu hierarchją kościelną Duch św. szczególnie działa cichym i błogosławionym

---

2) Moritz Meschler, Die Gabe des hl. Pfingstfestes, Freiburg 1922, str. 89, z której to książki dużo skorzystaliśmy przy spisaniu niniejszego artykułu.

wpływem swoim? Czyż czynności pełni władzy kapłańskiej, mocą której następcy apostołów szerzą prawdziwą wiarę św., udzielają Sakramentów św. i rządzą Kościołem św., nie są działalnością Ducha św., Ducha świętości, prawdy i słodkiego panowania? Czyż to Duch św. nie prowadzi każdego, co urząd lub stanowisko dzierży w Kościele Bożym, ukrytemi ścieżkami łaski stanu przygotując go zdaleka do objęcia władzy w mistycznem Ciele Zbawiciela a uświęcając go coraz więcej przy dobrem sprawowaniu urzędu kościelnego? Czyż on specjalnie nie prowadzi Ojca św. zosobna i całość biskupów z Nim połączonych po jasnych, świetlanych, cudownych ścieżkach nieomylności, prawa, wiary i miłości?

Któż zaś uzdalniał poprzez wieki istnienia Kościoła św. gorliwych wyznawców wiary Chrystusowej do mężnego szerzenia na całej kuli ziemskiej Królestwa Bożego, do obrony prawd objawionych, do teologicznego zgłębienia objawionego posagu wiary? Któż czuwa nad czystością wiary w Kościele św.? Któż ostrzem prawdy odkrywa całą przewrotność błędów i herezyj?

To Duch św., który zarazem podaje namiestnikowi Chrystusa i następcom apostołów pasterzom naszym moc i siłę niebieską, by potrafili paść baranki i owce Chrystusowe na żyznych łanach prawdy, miłości i łaski Bożej.

Jego cichy wpływ powołuje i przygotuje w Kościele św. kapłanów, co sprawować mają Najświętszą Ofiarę. On jest źródłem tej łaski, co spada na duszę chrześcijanina przyjmującego sa-

kramenta św. On uczy nas modlić się prywatnie i publicznie, osobiście i społecznie i dodaje naszemu niedołężnemu bełkotaniu, siłę i łaskę nieomylnej, nadprzyrodzonej skuteczności. (List św. Pawła do Rzymian 8, 26).

On wreszcie prowadzi mistyczne Ciało Chrystusa Pana poprzez wszystkie niebezpieczeństwa żywota ziemskiego do jasnych przybytków Niebieskiego Jeruzalem!

Poznań.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski.

ŚWIĘTOŚĆ A DOSKONAŁOŚĆ.

Język potoczny zazwyczaj nie czyni różnicy między świętością a doskonałością, używając dwóch tych wyrażeń zupełnie naprzemian, wyjąwszy może to, że większe wymagania stawia świętości, która w jego oczach jest czemś więcej niżeli prosta doskonałość, spotykana na każdym nieomal kroku.

Są jednak podstawy teologiczne, które pozwalają nam wprowadzić rzeczywiste rozróżnienie między pojęciami świętości a doskonałości; stąd dalej można ustalić wzajemne oddziaływanie świętości i doskonałości oraz wyciągnąć niektóre wnioski dla życia praktycznego.

1. *Świętość jako stopień miłości Bożej.*

Św. Tomasz nawiasowo tylko wspomina o świętości[1]), posługując się zwykle pojęciem doskonałości, co też czyni zawsze, ilekroć w dziełach swoich przedstawia *ex professo* zagadnienie o celu życia ludzkiego. Biorąc za podstawę etymologię greckiego, względnie łacińskiego źródłosłowu świętości, wyłaniają się dwa jej składniki: czystość i stałość[2]). Dokładniej rzecz rozbierając, dochodzimy do dalszego wniosku, że wspomniane dwa czynniki, czystość i stałość są tylko niejako warunkiem świętości, która sama istotnie polega

1) 2-2 q. 81, a. 8.

2) Hagios po grecku: bez ziemi; sanctus: co przez prawo stało się nienaruszalnem. Sw. Tomasz, tamże.

na oddaniu się Bogu, tak dalece, że pod pewnym względem utożsamia się z cnotą religji, mającą na celu kult i służbę Bożą. Niema prawdziwej czystości ani wypróbowanej stałości, jak tylko w miarę zbliżania się do Boga. Oddalając się od wszystkiego, co się sprzeciwia Bogu — od grzechu — i od wszystkiego, co nie jest Bogiem — od stworzeń — człowiek stopniowo się oczyszcza; a równocześnie, w miarę zbliżania się do tego, który jest pierwszą przyczyną nieporuszoną oraz kresem ruchu dla wszelkiego stworzenia, człowiek uczestniczy w jego niezmienności i stałości. W dwóch tych przymiotach, mianowicie „czystości" i niezmienności można zamknąć trudne do określenia pojęcie świętości Boga: „czystością" oraz niezmiennością bytu swego, Bóg nieskończenie jest wyniesiony ponad wszelkie stworzenie i z istoty swej chwalebny.

Tę świętość Boga urzeczywistniają istoty stworzone na swój sposób, o ile zdobędą czystość i stałość bytu swego, tą drogą przyczynią się do przypadłościowej chwały Boga. Nawet przedmioty materjalne słusznie nazywamy świętemi, jeśli wyłączone z użytku świeckiego — co odnosiłoby się do pojęcia „czystości" — w sposób stały i nieodwołalny przeznaczone zostaną do kultu Bożego.

Pojęcie świętości, jak wywodzi w dalszym ciągu św. Tomasz, urzeczywistnia się jednak w pierwszym rzędzie i nadewszystko w człowieku, obdarzonym rozumem i wolną wolą. U człowieka „czystość" (w specjalnem tu znaczeniu) będzie pole-

gała na oswobodzeniu się od wszelkiego grzechu, bo duch ludzki „brudzi się“ w zetknięciu i w przywiązaniu się do rzeczy niższych od siebie; prawdziwą stałość człowiek znajdzie w utrwaleniu się w dobrem przez cnoty. Wolny więc od wszystkiego, co go wiąże z ziemią, człowiek całkowicie i bez zastrzeżeń może oddać się Bogu; a jeśli ponadto jeszcze utwierdzi się w tem postanowieniu, łączność nawiązana zyska na stałości. Przez to zupełne oddanie się, człowiek składa Bogu najwyższą cześć, na jaką zdobyć się potrafi: oto prawdziwa świętość.

Rozważania te uwydatniły silniej różnicę, jaka zachodzi między świętością a religją wedle nauki św. Tomasza. Cnota religji, dla której język polski niema ściśle „skalibrowanej“ nazwy, jest to usposobienie stałe, skłaniające człowieka do oddania Bogu, odpowiedniemi aktami, należnej mu czci; zajmuje się ona jako właściwym sobie przedmiotem czcią Boga we wszystkich jej przejawach. Świętość natomiast oznacza tę łatwość wewnętrzną, z jaką duch ludzki oddaje Bogu siebie i wszystko swoje, czyli wszystkie czyny, objęte jego odpowiedzialnością, zarówno więc akty cnoty religji jako też akty wszystkich innych poszczególnych cnót. Jeśli więc cnota religji poprzestaje na swym przedmiocie ściśle określonym i ogranicza się jedynie do dziedziny kultu Bożego, świętość natomiast, podobnie jak sprawiedliwość społeczna przyjmuje charakter cnoty ogólnej i rozprzestrzenia się poprzez całe pole działalności ludzkiej, nadając poszczególnym ak-

tom cnót znaczenie czci i chwały Bożej. Świętość posiada więc charakter bardziej ogólny niżeli cnota religji, skoro potrafi objąć całe życie chrześcijanina i wpływem swoim skierować je do chwały Bożej. Człowiek, który osiągnął świętość, całem jestestwem swojem przynosi chwałę Bogu. Co prawda chwała ta dla Boga będzie tylko przypadłościowa, ponieważ nic nie dorzuca do jego istotnej doskonałości, jednakowoż należy mu się od wszystkich stworzeń, rozumnych i nierozumnych, których zadaniem jest, wedle pięknych słów św. Pawła, istnieć i działać „dla sławy jego chwały" (Ef. 1, 14).

* * *

W systemie moralnym św. Tomasza, świętość posiada więc pewne zalety, które ją wyróżniają od cnoty religji, jednakowoż pozostaje na tym samym poziomie cnót moralnych, aby w tej właśnie dziedzinie człowieka zjednoczyć i złączyć z Bogiem: na tem polega zasadnicza i właściwa racja wszelkiej świętości. Skoro tak jest, można posunąć się dalej po myśli św. Tomasza. Wspomniana zasadnicza racja świętości zawiera się, i to w sposób o wiele doskonalszy w cnotach teologicznych, zwłaszcza zaś w miłości Boga. Zakres świętości zatem rozszerza się bardzo znacznie: w tem zrozumieniu świętość będzie obejmowała nietylko całą dziedzinę postępowania moralnego, ale także życie i rozwój cnót teologicznych w człowieku, nadewszystko zaś cnotę miłości nadprzyrodzonej. Im większą ktoś posiada miłość Boga, im ściślejsze zjednoczenie jego z Bo-

giem przez cnotę miłości, tem większa jego świętość; podobne pojmowanie rzeczy zgadza się zresztą z potocznem pojęciem świętości, które widzi w niej przedewszystkiem doskonałość człowieka w miłości Boga.

W takiem zrozumieniu świętość nie będzie różniła się istotnie od doskonałości chrześcijańskiej, wziętej z pewnego określonego punktu widzenia: świętość jest to miłość Boga, o ile oczyszcza i uszlachetnia człowieka, jednocząc go z Bogiem w sposób stały, aby całem jestestwem swojem przyczynił się do większej czci Bożej, „dla sławy jego chwały" (Ef. 1, 14). Podobne utożsamienie świętości z miłością Bożą nie zawiera żadnej przesady; łatwo przekonamy się o tem jeśli zważymy, że pierwszy i bezpośredni skutek miłości Bożej polega na trwałem zjednoczeniu się z Bogiem, z ową trwałością i stałością, jaka właściwa jest każdej sprawności; jako skutek zaś drugorzędny, choć niemniej istotny uważać należy oczyszczenie nas i wyniesienie nas ponad wszelkie przywiązanie do grzechu i stworzeń. Miłość, jak powiada Apostoł, powinna pochodzić „ze serca czystego i sumienia dobrego" (I. Tym. 1, 5).

I św. Tomasz również zna wpływ miłości Bożej na *świętość* człowieka. „*Uświęcenie* stworzenia przez łaskę — mówi on — oraz pełnia świętości w chwale wiecznej, dokonuje się przez dar miłości, który to dar pochodzi od Ducha św."[3]). W odróżnieniu zaś od określenia świętości, poję-

---

3) 2-2 q. 1, a. 8 ad 5.

cie doskonałości chrześcijańskiej będzie szersze, obejmując zarazem harmonijny zespół wszystkich cnót chrześcijańskich, z miłością Boga jako ich królową; wspaniały ten zastęp cnót wytworzy piękną równowagę wszystkich władz, dążności i skłonności człowieka: pełną jego doskonałość[4]).

---

4) „Malgré le lien étroit des deux notions [sainteté et perfection] entre elles, elles sont différentes et c'est la sainteté qui est le vrai terme ultime où tendent toutes les grâces et toute la perfection de la vie n'est qu'un moyen d'arriver à plus de sainteté". J. de Guibert, Etudes de théologie mystique, Toulouse 1930, str. 37, przyp. 3.

(Dokończenie nastąpi.)

Lwów.

O. Dr. Andrzej M. Gmurowski Zak. Kazn.

ŚW. FRANCISZEK SALEZY: Z TRAKTATU O MIŁOŚCI BOŻEJ.

Z pośród licznych dzieł św. Franciszka Salezego (1567-1622), — najnowsze krytyczne wydanie jego dzieł, dokonane przez O. Mackey benedyktyna, obejmuje 14 dużych tomów — powszechnie znana jest „Filotea" czyli: „Wstęp do życia pobożnego" (Introduction à la vie dévote), istniejąca w różnych wydaniach polskich; w nowszym przekładzie polskim posiadamy jego „Rozmowy" (Entretiens), „dla wszystkich wszelkiego stanu osób wielce pożyteczne do spokojnego na drodze zbawienia postępu", wydane r. 1902 w Krakowie, nakładem Klasztoru PP. Wizytek. Na czoło jednak wszystkich dzieł św. Franciszka Salezego wysuwa się, jako jedno z arcydzieł literatury życia duchownego[1]), nieśmiertelny „Traktat o miłości Bożej" (Traité de l'amour divin), którego nowe tłumaczenie zapowiedziała „Bibljoteka Życia wewnętrznego", wydawana przez OO. Jezuitów w Krakowie. W traktacie o miłości Bożej św. Franciszek Sal. szczególnie podkreśla świętą obojętność duszy i zupełne zgadzanie się z wolą Bożą, jako objaw najdoskonalszej miłości ku Bogu. Tę myśl szeroko rozprowadza w księdze IX, z której poniżej podajemy niektóre charakterystyczne wyjątki[2]). Wzorujemy się nieco na dawnym przekładzie polskim, dokonanem z języka łacińskiego przez Ks. Walerjana Wyszyńskiego, ze Zgromadzenia XX. Pijarów. (Warszawa r. 1750, str. 12 nlb — 912 — 16 nlb); zbliżamy się jednak dokładniej do tekstu oryginalnego francuskiego. Egzemplarz wspomnianego przekładu łaska-

---

1) „Un des plus beaux chefs-d'oeuvre de la spiritualité chrétienne". Pourrat, La spiritualité chrétienne III, str. 481. (Paris 1925, Gabalda.)

2) Sw. Joanna Franciszka de Chantal, umierając, kazała sobie czytać księgę IX Traktatu o miłości Bożej. Por. H. Bordeaux, S. François de Sales et notre coeur de chair, str. 315. (Paris s. a., Plon.)

wie udostępniły nam SS. Wizytki z klasztoru krakowskiego.

(Rozdział IX.) Pewien znakomity Lutnista w krótkim przeciągu czasu stał się głuchym i zupełnie utracił słuch; nie ustawał jednak w śpiewaniu i graniu na lutni, z powodu wielkiej wprawy, którą już nabył, a przez głuchotę nie utracił. Ale że sam nie miał żadnej przyjemności ani ze śpiewania ani z grania, tembardziej że będąc głuchy nie mógł usłyszeć najmniejszego wdzięku, już więcej ani śpiewał ani grał prócz tylko dla zadowolenia Księcia, którego był poddany; wielce zaś pragnął przypodobać się Panu swemu, poczuwając się ponadto do wdzięczności za utrzymanie, jakie od niego odbierał od lat dzieciństwa swego. Stąd niesłychanej doznawał radości jeśli mógł przymilić się Panu swemu. A kiedy ze znaku jakiego zrozumiał, że Książęciu jego śpiewanie było przyjemne, cieszył się wielce z tego. Lecz trafiło się czasem, że Książę, chcąc doświadczyć szczerej miłości tego lutnisty, kazał mu śpiewać; a natychmiast, zostawiwszy go w pokoju wyjechał na polowanie; ten jednak tak był pilny w wypełnieniu chęci Pana swego, że dalej śpiewał z taką gorliwością, jak gdyby Książę był obecny, lubo żadnego nie znajdował zadowolenia w śpiewie; skoro pozbawiała go głuchota przyjemności w melodji, ani też nie doznawał radości z przypodobania się Księciu, który przecież był nieobecny a stąd nie mógł rozkoszować się w słodyczy pięknych jego melodyj.

Gotowe serce moje, o Boże, gotowe serce moje,
Będę ci śpiewać i grać psalmy.
Ocknij się chwało moja, ocknij się arfo i lutnio
Wstanę na świtaniu. (Ps. 56, 9 n.)

Serce ludzkie prawdziwym jest śpiewakiem pieśni miłości świętej, ono samo jest też i arfą i lutnią. Śpiewak zaś ten zwykle słyszy samego siebie i wielką znajduje pociechę w pięknej melodji swej pieśni; to znaczy, że serce nasze Boga kochające rozkoszuje się w tej miłośści i wielce się cieszy kochając rzecz tak wielkiej miłości godną. Słuchaj, Teotimie, co ci chcę powiedzieć. Młode słowiczki próbują się w śpiewaniu z początku chcąc naśladować starsze; lecz gdy się wyćwiczą i doskonale pojmą śpiewanie, śpiewają dla przyjemności, jaką znajdują we własnem szczebiotaniu, i tak dalece przywiązują się do tej przyjemności jak to nadmieniłem gdzie indziej, że głos swój wysilają do tego stopnia, iż pęka im gardło i zdychają. Podobnie serca nasze z początku swej pobożności miłują Boga, by zjednoczyć się z Nim, przypodobać się Mu i naśladować miłość, jaką umiłował nas od wieków; ale zwolna przyzwyczajone do świętej miłości, nieznacznie się odmieniają i zamiast kochać Boga dla przypodobania się Jemu, zaczynają kochać dla przyjemności, jakiej sami doznają w praktykowaniu świętej miłości; a tak z miłośników Boga stają się miłośnikami miłości, jaką żywią dla Boga; przywiązują się do swej miłości i nie podobają sobie już więcej w Bogu ale w pociechach, które mają z jego miłości, zadowalając się tą miłością o tyle,

o ile do nich należy, o ile w ich duszy jest i z niej pochodzi. Chociaż ta miłość nazywa się miłością Boga dlatego, że przez nią kochamy Boga, nie przestaje jednak być naszą, bo przecież my przez nią kochamy. Ta zaś jest przyczyna odmiany: zamiast miłować Go tą świętą miłością dlatego, że miłość ta dąży do Boga jako przedmiotu umiłowania, miłujemy dlatego, że ta miłość pochodzi z nas którzy właśnie jesteśmy miłośnikami. A któż nie widzi, że gdy tak czynimy, już więcej nie szukamy Boga, lecz że zwracamy się do siebie, miłując miłość zamiast Umiłowanego; czyli miłując tę miłość nie dla upodobaynia i zadowolenia Boga, lecz dla przyjemności i pociechy, jakie stąd dla nas czerpiemy. Ów śpiewak, który zpoczątku Bogu i dla Boga śpiewał, teraz więcej sobie i dla siebie niżeli dla Boga wyśpiewuje; a jeśli rozkoszuje się śpiewaniem, nie tyle czyni to dla zadowolenia Boga ile dla przyjemności własnego słuchu. A im te pienia miłości bożej ponad wszystkie inne są zacniejsze, tem też bardziej je kocha, nie ze względu na wielkość Boga, jaką ta miłość sławi, lecz dlatego, że dzwięk tego śpiewu cudniejszy jest i przyjemniejszy.

(Rozdział XI.) Lutnista ów, o którym wspomniałem, gdy ogłuchł, żadnej w śpiewaniu nie znajdował przyjemności, tylko to, że nieraz widział Księcia swego przysłuchującego się mu z zadowoleniem. O jak szczęśliwe serce, które miłuje Boga bez żadnej innej pociechy prócz tej, że podoba się Bogu! Bo która pociecha mogłaby

być czystsza i doskonalsza ponad tę, którą znajdujemy w boskiem upodobaniu? Jednak radość ta z przypodobania się Bogu nie jest, właściwie mówiąc, miłością bożą, lecz tylko jej owocem; jaki od niej można odłączyć, podobnie jak zrywa się cytrynę z drzewa cytrynowego. Bo jak powiedziałem, lutnista nasz śpiewał ustawicznie, wcale nie znajdując przyjemności w swoim śpiewie, ponieważ głuchota mu w tem przeszkadzała, niejednokrotnie zaś śpiewał, nie doznając nawet zadowolenia z przypodobania się Książęciu, dlatego że Książę polecił mu śpiewać, a następnie oddalił się albo poszedł na polowanie, nie dbając wcale o to, by się jemu przysłuchiwać.

Tymczasem, Boże!, gdy widzę twarz twoją z wyrazem zadowolenia na śpiew mej miłości, w jakież nie opływam pociechy! Bo któraż większa może być pociecha nad radość z przypodobania się Bogu swemu? A kiedy ty odwracasz oczy swoje ode mnie, i już więcej nie widzę zadowolenia, z jakiem łaskawie przyjąłeś mój śpiew, Boże mój, w jakiem utrapieniu nie pozostaje dusza moja! Nie przestaje cię jednak kochać szczerze i wyśpiewywać bez odpoczynku hymnu twej miłości, nie dla szukania własnego zadowolenia, którego zresztą nie znajduję; lecz wyśpiewuję z czystego umiłowania twej woli.

(Rozdział XV.) ...Córka pewnego sławnego lekarza i chirurga ustawicznie cierpiała gorączkę; a wiedząc, iż ją ojciec jedynie kochał, rzekła do jednej ze swoich przyjaciółek: „Bardzo wielkie odczuwam boleści; nie myślę jednak o żadnem

lekarstwie, bo nie wiem, coby mi do zdrowia pomogło: mogłabym pragnąć rzeczy takiej, a potrzebaby mi innej. Czy nie lepiej uczynię, jeżeli wszystko zdam na ojca mego, który wie, może i chce dla mnie wszystkiego, co mi konieczne dla zdrowia? Na darmo myślałabym, bo ojciec mój sam o tem pomyśli; daremnie pragnęłabym czegokolwiek, bo ojciec mój sam chce tego, co dla mnie korzystne. Będę tedy czekała, aby on chciał, co będzie uważał; i nic nie będę czynić, tylko będę patrzała na niego, gdy przyjdzie, i oświadczę mu miłość moją synowską, i oznajmię mu całkowitą moją ufność". To wymówiwszy zasnęła. Tymczasem ojciec zmiarkowawszy, że chorej trzeba krew puścić, rozporządził co konieczne; a gdy się ze snu obudziła, zbliżył się do niej i pytał, czy smaczny sen miała, oraz czy pozwoli, by jej dla wyzdrowienia krew puszczono. Na to odpowiada córka: „Ojcze, wszystka jestem twoja: nie wiem, czegobym chcieć miała, ażebym przyszła do zdrowia: twoją rzeczą jest chcieć i czynić dla mnie, co ci się zda najlepsze; co do mnie, dosyć mi na tem, że cię kocham i czcę z całego serca". Zatem ojciec zawiązał jej rękę i otworzył żyłę, z której obficie krew wychodziła. Kochana zaś córka ani razu nie spojrzała ani na rękę ani na krew wychodzącą; ale utkwiwszy oczy swe w ojca, nic nie mówiła tylko od czasu cicho powtarzała: „Ojciec mój miłuje mnie; a ja wszystka jego"; a gdy wszystko zakończono, ani podziękowała, tylko te same słowa swej miłości i ufności synowskiej jeszcze raz powtórzyła. *(Podał: fragm.)*

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY.

Uroczystości ku czci św. Alberta oraz ich znaczenie.

Rok już mija od ogłoszenia bulli *In thesauris sapientiae,* przyznającej Albertowi Wielkiemu tytuł „Świętego" i „Doktora Kościoła", a echo jej nie przebrzmiało zaraz, nie skończyło się wraz ze wspaniałemi uroczystościami kanonizacyjnemi, lecz przeciwnie wzmaga się, rośnie, potężnieje, obiegając miasta, kraje, części świata, porywając za sobą masy ludzi różnych warstw i narodów, łącząc je we wspólnej czci i uwielbieniu dla Wielkiego apostoła i męża Bożego, Wielkiego świętego, uczonego Doktora Kościoła, Alberta Wielkiego. To też jesteśmy świadkami rzadko spotykanego zainteresowania, jakie budzi nasz nowy święty. Do niezwykle bogatej literatury o Wielkim dominikanie obejmującej 650 dzieł i rozpraw z najróżnorodniejszych dziedzin jego wszechstronnego życia, jak to podaje *Revue Thomiste* (1931, n. 36), z każdym prawie tygodniem czy miesiącem ukazują się nowe prace odnośnie do jego życia, pism, nauki, kultu etc. dając podkład do zapowiedzianego nowego wydania jego dzieł. Św. Albert Wielki skupia i pociąga do siebie młodzież nietylko akademicką, ale nawet różnego rodzaju stowarzyszenia młodzieży miejskiej pod jego patronatem zakładane, zwłaszcza w Niemczech.

Lecz co więcej, wzniosła postać Wielkiego Świętego w dziwny sposób pociąga i skupia koło Pańskich i swoich ołtarzy rzesze wiernych na licznych i uroczystych Triduach w katedrach i kościołach; w aulach zaś uniwersyteckich gromadzi sfery inteligentne, ażeby zaczerpnąć z jego wielkiego ducha, świętości, wiedzy, ideałów, wzór dla własnego życia. Należy jednakże zaznaczyć, że Albert Wielki nie od roku dopiero stał się popularnym i aktualnym, czy też zaczął budzić zainteresowanie. Za wielką była jego osobistość, by mogły ją pokryć zapomnienia czy choćby jej sławę

przyćmić roje uczonych, później zjawiających się na widowni: Już przedtem znany był i uznawany, o czem świadczy jego kult[1]), ołtarze, kościoły, liczne obrazy[2]), uznanie świata uczonego i. t. p. , kanonizacja zaś jego i ogłoszenie Doktorem Kościoła istniejącemu już stanowi rzeczy, dodały tylko sankcji prawnej.

Jeszcze przed ogłoszeniem bulli kanonizacyjnej odbywały się tak zw. tygodnie Albertyńskie, jak to miało miejsce na uniwersytecie wiedeńskim, przy współudziale Kardynała, Arcybiskupa, oraz całego szeregu dostojników kościelnych i świeckich. Niemniej uroczyście odbyły się one w Paryżu, Fryburgu, Ratyzbonie, Kolonji i Rzymie. Oczywiście niesposób nawet brać pod uwagę ogólnego zainteresowania i usilnego starania o kanonizację, które wciągnęło w swój obręb cały świat katolicki, tak duchowieństwa, jak i świeckich przedstawicieli nauki; nie brak było petycyj książąt, ministrów i innych wysokich osobistości, zwłaszcza niemieckich.

Najpierw i może najwspanialej uczciły św. Alberta Wielkiego katolickie Niemcy, boć to przecież ich rodak, z którego słusznie mogą być dumne. Zaraz po kanonizacji wezwał i zachęcił Kardynał arcyb. koloński Karol Józef Schulte swoich archidjecezjan, szczególnie mieszczan do wzięcia udziału w uroczystościach wyznaczonych na 29-31 stycznia 1932. To też uroczystości Albertyńskie w Kolonji, jak donosiły dzienniki: *Kölnische Volkszeitung, Kölner Lokalanzeiger, Neue Zürcher Nachrichten, L'Osservatore Romano* i inne, nie miały oddawna sobie równych w Kolonji — mogą być porównane chyba tylko z międzynarodowym kongresem eucharystycznym kolońskim z roku 1909, a nawet poniekąd go przewyższają. Stotysięczna rzesza ludzi z miejscowym arcyb., biskupem Trewiru, kapła-

1) Por. O. R. Kostecki: Dzieje kultu św. Alberta W. „Szkoła Chrystusowa" IV (1932) str. 145 nn.

2) Por. Iconographia Albertina, Scheeben-Walz. Herder-Friburgi.

nami, zakonnikami, Rektorami uniwersytetu z Bonn i Kolonji, profesorami tak katolikami, jak i protestantami, władzami miejscowemi, wsród rozegranych dzwonów kościelnych Kolonji odświętnie przystrojonej i iluminowanej, zdążała do wspaniałej katedry kolońskiej ze świętemi szczątkami św. Alberta z kościoła św. Andrzeja. Po siedmiu prawie wiekach odwiedza on wsród triumfu swe dzieło, katedrę kolońską, której podobno pierwszy plan podał, a którą co dopiero jakby na jego przyjęcie wykończono. Nie był to jedynie zewnętrzny blichtr, bo jak podaje *Marienpsalter,* sarkofag, obrazy, ołtarz otaczało mnóstwo ludzi całemi nocami, a zwłaszcza w czasie Triduum. Wogóle w Niemczech kult św. Alberta stał się popularny, wskazują na to liczne łaski, za wstawiennictwem św. Alberta W. otrzymane.

W miesiąc później t. j. 28 lutego podobne uroczystości miały miejsce w Monachjum z udziałem Nuncjusza apostolskiego, Kardynała Arcyb. Faulhabera, dygnitarzy kościelnych i świeckich i całego tamtejszego świata naukowego z prof. Grabmannem na czele. Po nabożeństwach kościelnych odbyła się uroczysta akademja o wysokim poziomie naukowym ku czci św. Alberta W. Uroczystości i akademje ku czci św. Tomasza, urządzane zwykle w marcu, połączono w jedno z obchodami jego wielkiego Mistrza, Alberta Wielkiego. Pominąwszy wyliczanie miejscowości europejskich, można tu wspomnieć o znamiennym a wzruszającym fakcie, świadczącym o popularności św. Alberta. Nawet wśród dalekich misyj mimo trudności komunikacyjnych, zbierają się misjonarze w Sam-Dinch (Tonkin) w Seminarjum św. Alberta pod przewodnictwem delegata apostolskiego Kolumbana Dreyera O. F. M., aby uczcić wielkiego męża Bożego. Z okazji uroczystości wygłoszono kilka referatów w języku łacińskim, francuskim i miejscowym.

Żaden jednak obchód ku czci św. Alberta W. nie dorównuje uroczystościom rzymskim od 8 — 10 kwietnia. Zwłaszcza ostatni dzień przedstawiał się imponu-

jąco. Mszę św. celebrował Paweł Huyn, patrjarcha aleksandryjski w obecności kardynałów, arcybiskupów, biskupów, przełożonych zakonów, ciał dyplomatycznych różnych narodów, z pięknemi śpiewami chórów laterańskich. Uroczystości odbywały się w bazylice *S. Maria sopra Minerva.*

Jakkolwiek uroczystości następnych miesięcy nie dorównywują może wspaniałością ku czci Alberta W., to jednak zapał i ruch powiększa się, zataczając coraz szersze kręgi. Mamy więc w maju uroczystości w Lauingen w mieście rodzinnem Świętego 9 maja, Warburgu (15 — 17), Oksfordzie (16 — 18), Düsseldorfie (28 — 31), Rio de Janeiro przy końcu maja, z okazji otwarcia Instytutu Katolickiego pod wezwaniem św. Alberta W., który ma być wkrótce zamieniony na uniwersytet katolicki.

W czerwcu uczciły Świętego również liczne miasta jak między innemi: Augsburg, Leodjum (14 — 16), Berlin (23 — 25), Fryburg (Szwajcarja), Saulchoir (Belgja). Miesiące wakacyjne przynoszą nam tylko mniejsze uroczystości, gdyż cały szereg zamierzonych uroczystości przesunięto na listopad, na sam dzień uroczystości nowego Świętego, t. j. 15 listopada. *L' Osservatore Romano* już w październiku zapowiadał wspaniałe uroczystości Albertyńskie w Nowym Jorku. Tenże dziennik z 17 listopada podaje wiadomości o *Tygodniu Albertyńskim* w Brukseli: jeden dzień poświęcony wyłącznie kwestji pokoju, drugi wiedzy; tydzień zaszczyciło swą obecnością wielu wybitnych osobistości z różnych sfer, zajmując się żywo zagadnieniami tamże poruszanemi. W tym samym czasie podobne uroczystości odbyły się w Turynie i Rzymie.

Ma się rozumieć, że to tylko część skromna ruchu Albertyńskiego i tego, co świat uczynił dla Alberta W., gdyż szczegółowe wyliczenie wszystkiego nie leży w naszych zamiarach.

I Polska nie została w tyle w czci i uznaniu dla św.

Alberta Wielkiego. Już w październiku odbyła się akademja ku jego czci w Jarosławiu, a następnie w Żółkwi 6 listopada. Większe uroczystości zaczęły się w Krakowie 13 listopada. Pontyfikalną Mszę św. celebrował tu J. E. Książę Arcyb. Sapieha z pięknie wykonanemi śpiewami zespołu chórów krakowskich, seminarjów duchownych i Ks. Ks. Misjonarzy. W niedzielę 20 listopada odbyła się w Krakowie uroczysta akademja ku czci św. Alberta W.

Lwów uczcił św. Alberta uroczystem *Triduum* od 18 do 20 listopada, zakończonem akademją w auli uniwersytetu J. K. Nabożeństwa celebrowali kolejno:, w piątek J. E. Ks. Bisk. Lisowski, w sobotę J. E. Ks. Arcyb. Teodorowicz, w niedzielę 20 listopada uroczystą sumę J. E. Ks. Arcyb. Twardowski. Na akademji w wypełnionej po brzegi auli uniwersyteckiej, wygłosił piękny a głęboko ujęty referat o Albercie W. i jego zasługach dla nauk przyrodniczych: J. E. Ks. Arcyb. Teodorowicz. Szersze sprawozdania z uroczystości i akademji podała prasa miejscowa.

* * *

Obejmując jednym rzutem oka wszystkie sprawozdania poważnych pism krajowych i zagranicznych nie można oprzeć się wrażeniu, że uroczystości na cześć św. Alberta W. są radosną nowiną, obiegającą cały świat i porywający wszystkich za sobą. Wszędy gromadzi ta wielka postać tłumy ludzi „nadspodziewanie liczne“, czyto na nabożeństwach, czy też na obchodach o charakterze naukowym. Uroczystości mają jakiś rzewny urok i dziwną świeżość, niemała też jest ich owocność.

Powód aktualności i zainteresowania się ogólnego osobą św. Alberta, przez tyle wieków jakby zapomnianego, podaje nam jasno bulla kanonizacyjna, dziękczynny list biskupów niemieckich do papieża, tysiące

kazań i referatów, toż samo podkreślających, oraz prąd i duch czasu.

Ojciec św. wskazuje w bulli kanonizacyjnej na dwie charakterystyczne cechy z życia i działalności Alberta W., czyniące jego postać dla naszych czasów niezwykle doniosłą. Pierwsza — to *arbiter pacis* — miłośnik, głosiciel, patron pokoju oraz jego podstaw: miłości i sprawiedliwości; przebiega kraje, miasta, udaje się do poszczególnych osób z zachętą do zgody i naśladowania Księcia pokoju Jezusa Chrystusa. Drugi punkt omawia jego szczytną misję naukową. Również i z tego względu wskazuje Namiestnik Chrystusowy dzisiejszemu społeczeństwu na wzniosłą postać św. Alberta, obiecując największą korzyść, jeśli z ufnością zwróci się do niego i zastosuje się do jego szczytnych wskazówek i ideałów.

Albert W. nietylko jako święty i apostoł stał się „wszystkiem dla wszystkich", ale Pawłowe to wezwanie ściśle wypełnił również na polu pisarskiem. Stąd jego powaga, wzięcie, popularność w świecie naukowym. Uniwersalizm jego naukowy nie ma sobie równego. W jednej osobie teolog, dogmatyk, mistyk, egzegeta, filozof, astronom, fizyk, chemik, botanik, zoolog, matematyk, architekt, mechanik, antropolog, oraz doskonały znawca życia praktycznego, pociąga on wszystkich według umiłowań i zajęcia każdego poszczególnego. Albert W. używa metody zupełnie nowożytnej i w swych badaniach przyrodniczych godzien stanąć obok największych przyrodników eksperymentalnych naszych czasów.

Wreszcie ruchu Albertyńskiego nie zrozumiemy inaczej, jak tylko w łączności z wielkim zwrotem obecnego świata do średniowiecza i scholastyki w ogólności a do tomizmu w szczególności. Odruch taki da się zauważyć nietylko w obozie ściśle kościelnym, ale nawet wśród sfer naukowych świeckich. Kościół, wysuwając na widownię postać św. Alberta stawia go jako wzór cnót, wielkiej pracy, troski o pokój Chrystusowy

w Królestwie Chrystusowem, dociekań naukowych, nietylko pożytecznych dla ludzkości, lecz równocześnie prowadzących do Boga. Zapewne Kościół mógł do tego zachęcić już wcześniej. Że jednak stało się to obecnie dopiero, najwidoczniejsze w tem zrządzenie Opatrzności, która w swej przedziwnej mądrości daje naszym czasom przełomowym za wzór, wskazówkę i napomnienie św. Alberta W.

Z ludzkiego punktu widzenia twierdzić możemy, że do kanonizacji Alberta przyczynił się właśnie ruch wsteczny do średniowiecza, który musiał zahaczyć o tak niezwykłą postać tem bardziej, że posiada ona charakter wybitnie nowożytny, a równocześnie połączony z ową tężyzną duchową średniowieczną silnie opartą o Boga. Wielu teologów XVI w. odbiegło od zwartych systemów średniowiecza, nawet od św. Tomasza, obniżając wartość pierwiastków nadprzyrodzonych, wpływających na człowieka. Usunięta czy też osłabiona ścisła zależność człowieka od Boga w dążeniu do swego ostatecznego celu, odbiła się bardzo ujemnie na całokształcie życia religijno-społecznego.

Albert W. jako twórca tej metody teologicznej, jaka w Kościele Chrystusowym aż do naszego czasu pozostała dla duchownych „regułą i najlepszą normą“ (bulla Piusa XI), jest ostatecznym a zarazem najgłębszym łącznikiem i najwyraźniejszym wskaźnikiem na średniowiecze, scholastykę i tomizm. Wszak św. Albert, jak pisze O. Gorce dominikanin, był nietylko ojcem tomizmu jako mistrz św. Tomasza, ale nawet pierwszym jego wyznawcą i obrońcą, kiedy jako osiemdziesięcioletni starzec spieszy po śmierci św. Tomasza do Paryża, ażeby bronić całości nauki swego wielkiego ucznia. Niewątpliwie nowe krytyczne wydanie pism Alberta W. przyczyni się do jeszcze większej popularności i zrozumienia tego wielkiego systemu, który wprowadzony w życie tak pojedynczych ludzi, jak i narodów, wydał tak świetne owoce, że w obecnych czasach z podziwem patrzymy na tę epokę, na jej życie

z wiary, na prawa i ich podporządkowanie prawu Bożemu, na obyczaje, na wielkie porywy ducha, o których świadczą choćby te wspaniałe katedry budzące po dziś dzień zachwyt.

Niechaj zatem św. Albert Wielki, Doktor Kościoła, jego wzniosłe ideały, będzie ideą przewodnią doby obecnej w dążeniu do podniesienia wiary, miłości i sprawiedliwości, oraz do sprowadzenia i utrwalenia panowania „Boga Wiedzy i Mądrości" w naukach i prawach naszych, i „Boga Pokoju" Jezusa Chrystusa w Królestwie Chrystusowym.

PRZEGLĄD BIBLJOGRAFICZNY.

Ks. Aleksander Żychliński, Sacerdos, Rozważania teologiczne o kapłaństwie i jego zadaniu, str. 182, Poznań 1932, „Unitas".

Panuje u nas niestety przekonanie, że o wierze myśleć nie potrzeba, że rozum a religja to dwie dziedziny odcięta jedna od drugiej, których zestawiać nie wolno. Nic dziwnego że ten rozdział prowadzi łatwo do rozdźwięku: rozum nieprowadzony przez wiarę schodzi na manowce, a wiara niezrozumiana, nieprzemyślana staje się suchą i bezbarwną formułą.

Cała działalność pisarska Ks. Prałata Żychlińskiego jest jednym wielkim prostestem przeciw temu bezmyślnemu i niechrześcijańskiemu poglądowi. A że połączenie rozumu i wiary nazywamy teologją, Ks. Żychliński wziął sobie za zadanie popularyzowanie tej nieznanej i nielubianej nauki. Dał nam najpierw gruntowne studjum o samej istocie teologji, wykazał następnie zastosowanie jej do zagadnienia poznania Boga, ostatnio wreszcie otrzymaliśmy od niego *„Życie wewnętrzne"* teologicznie ujęte. Wszystkie te dzieła, a przedewszystkiem ostatnie należą niewątpliwie do najcenniejszych w naszej literaturze religijnej: oparcie na wszechstronnej znajomości przedmiotu, a przedewszystkiem na głębokiem przemyśleniu prawd wiary w świetle teologji tomistycznej sprawia, że mamy w nich prawdziwie europejskie prace w najlepszem tego słowa znaczeniu, w niczem nie ustępujące, a w niejednem przewyższające nawet podobne rozprawy francuskie czy zwłaszcza niemieckie.

Obecnie leży przed nami nowa książka tego samego typu: *„Sacerdos,* rozważania teologiczne o powołaniu kapłańskiem". Autor omawia w niej najdroższe niewątpliwie jego kapłańskiej duszy sprawy: stąd rzecz choć pełna głębokich myśli, dowodów, definicyj, ma przecież jakieś ciepłe zabarwienie, w wyższem jeszcze stopniu niż poprzednie książki tego samego autora.

W jednym z rozdziałów głosi ona zasadę *„contemplata aliis tradere"* — podawać innym to co przemodlone. Bezwątpienia autor dał nam sam najlepszy przykład, jak ją stosować należy.

Nie chcę ukrywać, że książka jest trudna do czytania. Trudna, dzięki tematowi, który dotyka najbardziej oderwanych tez teologicznych, ale trudna także i dlatego, że myśl w niej jest tak bogata, iż słowa z trudem za nią podążają. Na każdej stronnicy czuje się niemal to samo, co przy czytaniu listów św. Pawła: autor widzi wszystko to co pisze w dużo jaśniejszem i piękniejszem świetle, znacznie głębiej niż to wyrazić może najbardziej nawet wyrobiony język.

Oto w przybliżeniu główne zarysy książki: Chrystus jest kapłanem, kapłan to *„alter Christus"*; kapłaństwo to przypadłościowy ale fizyczny i rzeczywisty udział w zjednoczeniu Chrystusa-Człowieka z Bogiem. Ale Chrystus jest i ofiarą: stąd istotą kapłaństwa, jego celem i ośrodkiem życia kapłańskiego jest funkcja konsekratora. Ze Mszy św. wypływają wszystkie czynności kapłańskie: jego rola nauczycielska, wymagająca pełnego zaparcia studjum rzeczy Bożych, jego funkcja uświęcania ludzi jako rzeczywiste, fizyczne narzędzie Chrystusa, obowiązek prowadzenia dusz na wyżyny świętości. Stąd obowiązek świętości i fakt, że pożytek pracy kapłańskiej zależy w pierwszym rzędzie nie od dobrej wymowy czy zdolności organizacyjnej, ale od przejęcia się duchem miłości i ofiary.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że autor ogranicza się do teoretycznych rozważań. W książce pełno jest na każdym kroku wskazówek praktycznych, z pomiędzy których na szczególne wyróżnienie zasługuje zarys techniki prowadzenia dusz czyli t. zw. kierownictwa duchownego, tak niesłychanie potrzebnego, a tak niestety mało u nas znanego.

Cała nauka jaką podaje Ks. Żychliński opiera się na Piśmie św. i św. Tomaszu z Akwinu, jest więc wyrazem najautentyczniejszej myśli chrześcijańskiej. O-

derwane tezy ilustruje autor przepięknemi tekstami wyjętemi z dzieł wielkich klasycznych pisarzy ascetycznych, nadając im w ten sposób barwności i życia.

Książkę tę powinien bezwzględnie przeczytać i przemyśleć każdy ksiądz. I świeccy których zajmują zagadnienia ich wiary mogliby ją z pożytkiem przeczytać: mamy w niej niewątpliwie jedną z najcelniejszych rzeczy jakie w tym zakresie napisano.

Rzym. *O. Dr. I. M. Bocheński.*

S. Barbara Zulińska C. R., O wychowaniu religijnem dzieci w wieku przedszkolnym, str. 53, Poznań b. r., Nakładem Księgarni św. Wojciecha.

Pisać o wychowaniu, tak i uczyć, zwłaszcza najmłodszą dziatwę, nie jest rzeczą zgoła łatwą i prostą, chyba, że się ma szereg lat pracy na niwie pedagogicznej za sobą, czy też wzorowy dar nauczania, wielkie serce kochające młodzież. Właśnie S. Żulińska posiada wszystkie te zalety, by móc zabierać głos w sprawie nauczania. Mądrość życiowa, tak zwana wiedza fachowa i talent, faktycznie przemawiają z kartek powyższej broszury. Nietylko wychowawcy *ex-professo,* lecz i rodzice i to szczególnie — zapoznać się winni z tem pożytecznem wydawnictwem.

Jacek Przygoda.

Otto Cohausz S. J., Die Frömmigkeit Jesu Christi, str. 315, Kirnach-Villingen (Baden) 1930. Verlag der Schulbrüder.

Znany pisarz duchowny O. Cohausz wychodząc z słusznego założenia, że punktem centralnym wszelkiej religji jest dążenie do prawdziwej pobożności, przedstawia nam w zarysie pobożność Boga-Człowieka Jezusa Chrystusa jako najlepszy wzór wszelkiej pobożności i podaje zarazem zasady i prawdy objawione nam przez Zbawiciela naszego dotyczące życia pobożnego. Po krótkiem scharakteryzowaniu fałszywej pobożności faryzeuszów i uczonych w Piśmie autor przechodzi do określenia ogólnych zasad czyli podstaw i du-

cha prawdziwej pobożności względem Boga Stwórcy i Pana ale i najlepszego Ojca naszego.

W części szczegółowej podał O. Cohausz olbrzymi materjał z teologji ascetycznej na podstawie dwuch największych przykazań, mianowicie przykazania miłości i bliźniego.

Uwydatnienie miłości Boga w dziecięcej a przytem pełnej uszanowania i miłościwej bojaźni — pobożności, modlitwa i pobożne życie, pobożność społeczna (rodzina kościelna), stosunek pobożności do życia i do działalności publicznej, wreszcie fundament, rozciągłość, wykonanie i cel miłości bliźniego — oto główne tematy, które autor opracował, w zarysie coprawda, ale na podstawie bardzo rozległej i solidnej wiedzy teologicznej oraz z uważnem i wytrawnem uwzględnieniem potrzeb religijnych współczesnej inteligencji zwłaszcza niemieckiej. Niektóre rozdziały jak np. „Frömmigkeit und Mystik", „Der Christ und die Andersdenkenden" są arcydziełami kompozycji opartej na mocnych teologicznych zasadach a zniżającej się bardzo dobrze do poziomu uświadomienia religijnego inligenta świeckiego. Niektóre powtórzenia tych samych myśli były przy takiej olbrzymiej rozciągłości materjału nie do uniknięcia.

To też uważamy, że książka O. Cohausza należy do najlepszych prac z dziedziny teologji ascetycznej, które w ostatnim czasie dla inteligencji napisane zostały. Życzyć należałoby, by ona w polskiem tłumaczeniu znalazła się rychło na naszych półkach księgarskich.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski.

Ks. R. Mäder, Wielka Tajemnica, str. 70, Katowice 1931, Wydawnictwo Księgarni Katolickiej.

Tak aktualenj, a jednocześnie tak mądrze opracowanej broszury o „wielkiej tajemnicy" — małżeństwie, jak powyższa, nie spotykamy wiele w naszem piśmiennictwie. W formie kilku zwięzłych i rzeczowo napisanych rozdziałów przedstawił znany działacz ca-

łokształt zagadnień, dotyczących kwestji małżeńskiej. Całość ujęta nader zajmująco, napisana z przekonaniem głębokiem i pod kątem praktycznego życia, odda czytelnikowi niemałe usługi.

Jacek Przygoda.

*** Sługa Boża Siostra Beniga Konsolata Ferrero (1885 — 1916), str. 292, Kraków 1930, Nakładem Arcybractwa Straży Honorowej.

Siostra Benigna Konsolata urodzona w Turynie 1885 r. umarła w Como w klasztorze SS. Wizytek 1916 r., po ośmiu latach życia zakonnego. Jako postać, możemy ją zaliczyć do grupy owych uprzywilejowanych dusz „Oblubienic Chrystusowych", jak św. Katarzyna ze Sieny, Marja Małgorzata Alacoque, Gemma Galgani, Siostra Marja od Bożego Serca (Droste zu Vischering) i wiele innych, które Jezus obdarza wyjątkowemi łaskami, prowadzi niezwykłemi drogami, zlecając im szczególne posłannictwo, a mianowicie głoszenie światu miłości Boskiego Serca. Bardzo wiele zdziałał Jezus przez swe Apostołki, oczywiście nie w dziedzinie dogmatu, lecz około wzmocnienia wiary, pobożności.

Całość dzieła podzielona na trzy części:

I. to jej żywot oparty prawie wyłącznie na jej własnych pamiętnikach, spisanych pod dyktandem i z rozkazu „Głosu wewnętrznego", od 16 — 133 str.

II. zawiera dodatek, dający nam opis zdarzeń pośmiertnych, t. j. cudów za jej wstawiennictwem otrzymanych 134 — 195.

III. składa się z fragmentów, urywków z jej pism jeszcze nie wydanych, oraz świadectw ludzi, którzy Siostrę Benignę znali i wreszcie ocena i stanowisko ludzi uczonych odnośnie do jej pism i nauki w nich zawartej 199 — 291.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje część pierwsza, przedstawiająca sam żywot. Autor (a może właściwiej redaktor) dosyć pobieżnie załatwia się ze stroną zewnętrzną jej życia, a to z powodu braku odpowiednich źródeł. Zato wspaniale wypada strona wewnętrzna

oparta na rozmowach Pana Jezusa ze swą umiłowaną Benjaminką; Chrystus Pan, nie ukazując się jej oczom, bardzo często mówił do niej jako „Głos wewnętrzny“ dający jej upomnienia, rady, wskazówki, oświadczając jej swą miłość, lub zachęcając swą „Małą Sekretarkę“ do miłości i pisania o niej... W ich świetle mamy jak na dłoni duszę Oblubienicy Chrystusowej, jej rozwój i dążenie poprzez oczyszczenie, oświecenie do zjednoczenia się z Jezusem przez miłość, będącą główną pobudką życia wewnętrznego Siostry Konsolaty.

Niezwykle liczne wskazówki odnośnie do życia duchownego wyraźnie przeznaczone dla ogółu, napełniają karty tego cennego dziełka, a rękojmią nadprzyrodzonego pochodzenia i zdrowotności tych zasad, to ich prostota, oraz zgodność z duchem ewangelicznem tak, że pewien czytelnik nazwał pisma Siostry Konsolaty — przedłużeniem Ewangelji.

Sądzimy, że wyraziściej wystąpiłaby postać sługi Bożej, gdyby włączono liczne notatki biograficzne z części trzeciej do pierwszej, przez co zdaje się nie poniosłaby żadnego uszczerbku przejrzystość jej życia wewnętrznego.

Rzadko książka spotyka się z takiem uznaniem i wprost z entuzjazmem, o czem świadczą liczne rozprawy jako też i tłumaczenia. Wystarczy nadmienić, że jest to już trzecie wydanie polskie w niespełna dziesięciu laty. Nie wątpimy nawet, że książeczka ta, będąca jednem wołaniem Serca Jezusowego przez usta i życie Małej *Sekretarki* Jezusa — o miłość dla Zbawiciela, będzie dalej uprawiała to apostolstwo, przyniesie ukojenie niejednemu skołatanemu sercu oraz przyczyni się do jak najszybszego wyniesienia Siostry Konsolaty na ołtarze. *T. S.*

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii

Redaktor odpowiedzialny: O. DR. ANDRZEJ M. GMUROWSKI Z. K.

Tłoczono w drukarni Dominikańskiej, Lwów, pl. Dominikański 2